

## Strzały zza ucha: Hymn z polskojęzycznym podkładem



Krzysztof Maria Załuski



Przed wielu laty wpadł mi w ręce esej pewnego ekonomisty. Pamiętam, że czytałem to „coś” w zuryskim tramwaju, przecierając po każdym zdaniu oczy... W tekście wielokrotnie padało pytanie: „Czy Polska przetrwa do roku 2010?”. Niestety, nie zanotowałem wówczas ani nazwiska autora, ani tytułu dzieła. W pamięci utkwiło mi jedynie, że naukowiec był amerykański, więc z pewnością wybitny. Zaś magazyn niemiecki, co oznaczało, że sprawę należy traktować poważnie.

---

Autor był niewątpliwie autorytetem. Takim z gatunku „pedagogów wstydu”. Jego tok rozumowania był więc całkowicie przewidywalny, a puenta nie pozostawiała żadnej nadziei: „Polska nie ma szans. Musi zginąć”.

Za takim scenariuszem przemawiać miały zarówno uwarunkowania historyczne, jak i społeczne. „Tym krajem” bowiem już przed rozbiorami nie rządili Polacy, a polski przemysł powstał wyłącznie w wyniku obcych inicjatyw i w oparciu o obcy kapitał. Dlatego też naszą gospodarkę należy traktować jak sztuczny konglomerat trzech elementów wyrwanych z gospodarek Rosji, Prus i Austrii. Przemysł, który przypadł Polsce po zakończeniu pierwszej wojny światowej, był bowiem organicznie związany z mocarstwami ościennymi i tylko w ich obrębie mógłby należycie funkcjonować.

Skoro jednak Austria, jako mocarstwo, przestała istnieć, a Związek Radziecki w 1991 roku zniknął z mapy świata, to na placu boju pozostały jedynie Niemcy. I dlatego właśnie w strukturach niemieckiej gospodarki - największej, najnowocześniejszej i najprężniejszej w Europie - powinna się znaleźć Polska.

„Co to oznacza dla Polski?” - pytał retorycznie naukowiec i zaraz z elokwencją odpowiadał: „Same dobrodziejstwa!”.

No cóż, nie trzeba chyba być profesorem ekonomii, aby po takim dictum nie postukać się w czoło. Wystarczy przyjrzeć się „dobrodziejstwom”, jakie spotkały gospodarkę NRD po Anschlussie dokonanym w 1990 roku przez RFN.

Tym, którzy nie pamiętają, przypomnę, że w ciągu zaledwie pierwszego roku „wspólnego gospodarowania” nastąpiła całkowita zapaść energońskiego przemysłu, rolnictwa i usług. Jeden po drugim padały kombinaty przemysłowe i sowchozy. Zamykano wydawnictwa i wytwórnie filmowe, gazety i teatry. Z uczelni usunięto większość wykładowców, z sądów prokuratorów i sędziów, ze szpitali dyrektorów. Lekarze i pielęgniarki sami wyjechali na Zachód.

Aby transformacja ustrojowa przebiegła nie tylko sprawnie, lecz także „sprawiedliwie”, już w czerwcu 1990 roku powołano tzw. Treuhandanstalt (Urząd Powierniczy). Była to agencja rządowa, która przejęła państwową własność na wschodzie Niemiec.

Przez pięć lat istnienia tego urzędu aż 80 proc. sprywatyzowanych przedsiębiorstw znalazło się w rękach nowych właścicieli - oczywiście tych z zachodu RFN. 14 proc. kupili zagraniczni inwestorzy, a jedynie 6 proc. aktywów nabył kapitał wschodnioniemiecki. Około 8,5 tys. przedsiębiorstw zatrudniających ponad 4 mln pracowników zmieniło właściciela.

Kierownictwu Urzędu Powierniczego od początku istnienia zarzucano niegospodarność i niekorzystną sprzedaż dobrze prosperujących przedsiębiorstw. W 1991 roku szef agencji Detlev Karsten Rohwedder został zastrzelony - najprawdopodobniej przez snajpera Rote Armee Fraktion - a cztery lata później Treuhandanstalt rozwiązano. W momencie zamknięcia instytucji wysokość strat wynosiła ponad 270 mld marek.

W ten sposób „Ossi” zostali sprowadzeni do roli konsumentów zachodnich bubli i płatników podatków. Większość ich rodzimych marek zniknęła z rynku, a na gruzach „państwa robotników i chłopów” zachodnie koncerny pobudowały nowe imperia. Volkswagen wyparł trabanta, dziennik telewizyjny „Aktuelle Kamera” zastąpiły wiadomości ARD, papierosy f6 amerykańskie marlboro, a motorowery simson motocykle BMW. I tylko wschodnioniemiecka Vita Cola oparła się zachodniej Afri-Coli.

„Wessi” do 2009 roku wpompowali w byłą NRD prawie 250 mld euro. Mimo to, według sondażu tygodnika „Der Spiegel”, jedna trzecia „Ossich” uważa się za ofiary zjednoczenia... I to samo miało czekać Polskę, czego amerykański profesor wcale nie ukrywał. Jego zdaniem polskie fabryki już w chwili transformacji ustrojowej praktycznie przestały cokolwiek produkować.

Tona zboża w skupie była tańsza niż leasing maszyny umożliwiającej jej zebranie. Tym samym produkcja rolnicza w Polsce stała się kompletnie nieopłacalna. Podobnie było z produkcją przemysłową - taniej było sprowadzać towary z państw Unii Europejskiej. Aby zlikwidować zacofane polskie rolnictwo i ekstensywny przemysł, amerykański ekonomista sugerował, aby międzynarodowe korporacje finansowe zmusiły Polskę do zniesienia ceł na zachodnie produkty i zwolnienia z podatków zachodnich przedsiębiorców. Dzięki temu w lukę po polskich towarach mogłyby wejść produkty zachodnie, na pewno atrakcyjniejsze, bo tańsze.

Ekonomista przypominał również, że już za czasów pierwszej Solidarności przewidział wszystkie procesy dezintegracji wewnętrznej, które obejmą Polskę zaraz po jej wypadnięciu z orbity Moskwy. Jego zdaniem miałyby to być procesy ze wszech miar pożądane, ponieważ prowadzące do zastąpienia archaicznych metod produkcji nowoczesnymi formami gospodarowania typu zachodniego. Tylko takie bowiem formy mogą zapewnić stabilność i powodzenie kraju nad Wisłą.

Profesor dowodził również, że rozkład wewnętrzny Polski, w takim samym stopniu jak gospodarki, dotyczyć będzie życia społecznego i moralnego. Ostatecznie zaginie także kultura polska, która z kulturą ogólnoswiatową niewiele ma cech wspólnych.

Stanie się tak, ponieważ Polski nie będzie stać ani na promocję już istniejących dzieł, ani tym bardziej na kształcenie nowych twórców. Żadnemu wydawnictwu nie będzie opłacało się inwestować w krajowych autorów i ich książki, a rozsypujące się państwo nie będzie miało funduszy, by zajmować się subsydiowaniem polskiego teatru, polskiego filmu, polskiej prasy, sztuki, nauki, a nawet radia i telewizji. „Ale to żaden problem” - pisał Amerykanin. - „Wszystko przecież istnieje, wystarczy podłożyć polską wersję językową”.

Na koniec profesor obarczył jeszcze Polaków odpowiedzialnością za anarchizowanie życia społecznego, niszczenie liberalnej demokracji, krzewienie ideologii „katotalibanu” i prześladowanie mniejszości...

Po tej lekturze poczułem się odrobinę skonfundowany. Co gorsza, jako emigrant nie miałem nawet możliwości pełnego zweryfikowania rewelacji amerykańskiego ekonomisty. Okazja nadarzyła się dopiero parę lat później, w roku 2004, kiedy wróciłem do Polski na stałe.

Już na lotnisku w Rębiechowie odetchnąłem z ulgą na widok polskich żołnierzy z orłami w koronie na czapkach. Równie budujący był widok napisów na murach, może nie do końca cenzuralnych, ale na pewno polskich. I nawet przekleństwa taksówkarza, który wiozł mnie dziurawymi ulicami do Sopotu, były całkiem sympatyczne.

A jednak mój entuzjazm szybko zaczął topnieć. Z racji wykonywanego zawodu zacząłem bacznie obserwować polityków - i tych z Warszawy, i tych lokalnych, samorządowych półamatorów. Śledziłem ich korupcyjne afery, ich układy, przekręty i wszelakiego rodzaju łajdactwa, które z dobrem zatrudniających ich Polaków nie miały nic wspólnego.

Tekst owego amerykańskiego naukowca przypomniał mi się całkiem niedawno. Już po rosyjskiej inwazji na Ukrainę i po wybuchu hysterii opozycji, która w momencie tak kluczowym dla losów Polski - naszego bezpieczeństwa energetycznego, suwerenności, tożsamości, a może nawet biologicznego istnienia - dopuszcza się niemal jawnej zdrady narodowej, podżegając unijnych urzędników do nałożenia na nasz kraj sankcji za rzekomą niepraworządność.

I pomyślałem, że gdyby nie instynkt samozachowawczy Polaków, którzy w porę pokazali środkowy palec niemiecko-rosyjskim kompradorom, nasz kraj już dawno stałby się czymś w rodzaju byłej NRD... I że zamiast „Mazurka Dąbrowskiego” śpiewalibyśmy dziś unijny hymn „An die Freude” na przemian z niemieckim „Das Lied der Deutschen” - oczywiście z polskojęzycznym podkładem.

**Zródło:** *Dziennik Bałtycki*